

Ewa Kraskowska

"Dlaczego uczysz się polskiego?"

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (13/14), 154-159

1992

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

zacząć wątpić w świadectwo własnych zmysłów? Granica między realnością a zwidem zaczyna się niebezpiecznie zacierać. Miałeś chmieje złoty róg?

Nie ma w filmie Antonioniego zaczarowanego kręgu tańca, ale jest pantomima, odgrywana przez gromadę przebierańców, imitujących na korcie grę w tenisa. Ta milcząca sekwencja ciągnie się długo, a gesty naśladowujące grę, tak przesadnie wyraziste wobec braku raket i piłki, przypominają w połączeniu z maskaradowymi strojami uczestników jakiś rytualny taniec. Nie ma muzyki chochoła, ale słyhać, realnie słyhać, rytmiczny odgłos odbijania wymagowanej, niewidocznej piłki. W końcu fotograf przyłącza się do tej gry, jakby wciągnięty hipnotyczną siłą samego ruchu i rytmu.

Antonioni nie zajmował się żadnym narodem i jego marzeniami o wolności, opowiedział historię o zawodowych a także moralnych kłopotach pewnego londyńskiego fotografa. Ale czyż nie interesowało go coś podobnego jak twórca *Wesela*: dzieje utraconej szansy? Wielkich oczekiwań, przychodzących w chwili osobliwej, by zniknąć bez śladu o świcie? Pytania z rozmowy o *Weselu* powracały na różne sposoby przy okazji *Szewców*, *Balu w Operze* i *Tanga*, a także *Malej Apokalipsy*. Katastroficzne lęki albo pomysły na generalną przebudowę świata kojarzą się jednak moim studentom raczej z ekologią niż ideologią, a ze wszystkiego, co przeczytali, najbardziej podobał im się Schulz i Leśmian.

Semestr kończy się w ostatnich dniach kwietnia. Wiosna w Ann Arbor trwa krótko, to raczej szybki, gwałtowny przeskoczenie od zimy do lata. Przez dwa tygodnie campus tonie w kwitnących magnoliach, drzewach owocowych i mnóstwie ozdobnych krzewów, a potem spada na głowę duszny, wilgotny upał. Pora wyjeżdżać.

Po powrocie, teraz kiedy to piszę, przychodzi mi na myśl, że ten semestr w Ann Arbor też był trochę jak praca fotografa, który przy wywoływaniu zdjęć przesuwając klatki filmu, kadruje szczegóły i waha się, jak ustawić optykę, by już uzyskać maksymalne powiększenie, a jeszcze nie stracić ostrości. Sala B 122 nie ma okien, nadawałaby się na ciemnię.

Małgorzata Czerwińska

„Dlaczego uczysz się polskiego?”

O pisemną odpowiedź na to właśnie pytanie poprosiłam studentów polonistyki na uniwersytetach w Sztokholmie i w Uppsali. Odkąd bowiem podjęłam pracę jako lektor języka polskiego w Szwecji,

często sama się zastanawiam, skąd właściwie u obcokrajowców bierze się potrzeba poznania mojego języka ojczystego, a i rozmówcy, dowiedziawszy się o mojej profesji, tego właśnie przeważnie chcą się ode mnie dowiedzieć.

Najzwężlejszą odpowiedziała Bettina, 30/8¹ — „Bo lubię”. Bettina nie była zresztą reprezentatywna dla mini-społeczności, którą poddałam mojej ankiecie, ponieważ nie jest Szwedką, lecz Niemką. Na początku minionej dekady ukończyła w Niemczech prawo i, z braku innej oferty, pojechała na roczny kurs języka polskiego do Warszawy. Z Polską łączyło Bettinę tylko tyle, że jej dziadkowie mieszkali kiedyś na Dolnym Śląsku, o czym zresztą wnuczce raczej nie opowiadali, zwłaszcza że dziadek po wygnaniu z rodzinnych stron w ogóle przestał się odzywać. Pojechała więc Bettina do Polski i trafiła na stan wojenny. A że trafiła też na interesujących ludzi, przedłużyła swój pobyt w Warszawie do lat trzech, znajdując przy okazji zatrudnienie w przedstawicielstwie pewnej niemieckiej instytucji. Po trzech latach władze ludowe przestały przedłużać jej wizę, więc przeniosła się do Sztokholmu, nadal pracując w owej instytucji. Tu okazało się, że z perspektywy szwedzkiej Polska jest rajem w zakresie stosunków międzyludzkich; tęskniąc zatem do ciepła i głębi, Bettina zapisała się na polonistykę, gdzie studiuje metodą dość nietypową. Ilekroć mianowicie ukończy ostatni kurs, zaczyna wszystko od początku. Poświęciłam tyle uwagi Bettinie, bo choć nie reprezentatywna, to jest jednak w pewnym sensie typowa. Przedstawia bowiem typ studenta uczącego się polskiego z m o t y w ó w s e n t y m e n t a l n y c h i od razu wyjaśniam, że jest to motywacja najpowszechniejsza, choć każdy przypadek jest tu oczywiście jedyny i niepowtarzalny. Bettina poślubiła rok temu swojego polskiego przyjaciela, lecz na miejsce stałego zamieszkania wybrali zjednoczone Niemcy.

Oprócz rodowitych Szwedów studiują tutaj polski także i Polacy mieszkający w Szwecji. Niekiedy jedynym ich celem jest zdobycie „punktów”, od ilości których zależy wiele: „awans” na kolejne, wyższe kursy, ale także uzyskanie pomocy stypendialnej. Jednak większość Polaków, a są wśród nich tacy, którzy nasz kraj opuścili jako dzieci, pragnie po prostu zachować kontakt z żywym językiem ojczystym, a w miarę możliwości także i z naszą kulturą, literaturą, wreszcie życiem codziennym. Jako że w Szwecji dla studentów nie ma granicy wiekowej, uczyłam między innymi ludzi, którzy opuścili Polskę podczas drugiej wojny światowej, a ich obecność w grupie szwedzkiej młodzieży wspaniale ożywiała i urozmaicała zajęcia. W zasadzie jednak dość trudno jest zorganizować

¹ Pierwsza liczba takiego zapisu oznaczać będzie wiek respondenta, druga — rok nauki języka polskiego.

lekcję w zespole złożonym z jednej strony z ludzi, dla których język polski jest, choć nie używaną na co dzień, ale jednak mową ojczystą, z drugiej strony zaś z osób, dla których fleksja jest absolutną i zdumiewającą nowością. Jeśli chodzi o rodowitych Szwedów, to nie przestaje zdumiewać mnie samozaparcie, z jakim zgłębiają oni tajniki tego p o t w o r n e g o — cytata z pracy Petera, 23/1 — języka, oraz, co więcej, skuteczność ich wysiłków. Trzeba jednak pamiętać, że poliglotyzm jest zjawiskiem w Szwecji rozpowszechnionym i na przykład wśród moich tutejszych znajomych normą jest posługiwanie się swobodnie więcej niż dwoma językami. Umiejętność rozmówienia się po angielsku jest dla Szweda sprawą w zasadzie oczywistą; co do Petera, język polski jest dla niego, jak obliczyłam, ósmym z kolei.

Pierwsze kontakty z językiem polskim bywają rozmaite. Andre, 19/1, zetknął się z nim w ósmiej klasie szkoły podstawowej.

W nowej klasie było czterech Polaków. Jeden z nich został później moim bliskim przyjacielem. Kiedy rozmawiali o tajnych sprawach, rozmawiali po polsku. Słyszając ów język dziwiłem się, ponieważ dla Szwedów naprawdę brzmi on jak cieknąca dętka z powietrzem pod ciśnieniem. Zafascynowałem się i zacząłem być ciekawy.²

Ivonne, 47/1, która uczy cudzoziemców języka szwedzkiego, była w Polsce na krótkim stypendium.

Przed przyjazdem do Polski pojmowałam tylko potok dźwięków i myślałam: czy to są słowa? czy można taki język rozumieć?

To charakterystyczne; Szwedom, których język ma bardzo bogatą intonację, i to nie tylko w obrębie zdania, ale także pojedynczego słowa, bardzo trudno jest zarejestrować sygnały delimitacyjne polszczyzny — nie słyszą po prostu, kiedy kończy się słowo, a kiedy zdanie, zaś finał całej wypowiedzi przychodzi zupełnie niespodziewanie. Christopher, 23/3, mówi po polsku bardzo swobodnie, choć nie bez błędów. Żartobliwie wspomina swój pierwszy kontakt z polszczyzną:

Kiedy miałem jedenaście lat, oglądałem serial telewizyjny, w którym chodziło o kuriera carskiego w Polsce. Ten kraj mnie zaciekawił. Szczególnie pamiętam jedną scenę — jak kobiety się kąpały w jeziorze. Kurier przyszedł, też się kąpał, a jednocześnie się zakochał w jednej z tych kobiet. Tak inaczej brzmiał ten język, że musiałem się koniecznie go uczyć. Jeśli dobrze pamiętam, ten serial leciał w dniach wyboru Wojtyły na papieża.

Wzmianka o papieżu nie jest w wypowiedzi Christophera przypadkowa, nie jest on bowiem jedynym ze spotkanych przeze mnie studentów, u których zainteresowanie polskością idzie w parze z katolicyzmem.

² Zachowuję oryginalną stylistykę wypowiedzi, dokonując tylko nieznacznego retuszu.

Znam też wypadki zmiany wyznania, w których kontakt z religijnością Polaków odegrał niemałą rolę.

Annika, 29/3, mieszka 400 kilometrów od Uppsali i dojeżdża na lekcje tak często jak tylko może, ale nie może często, bo jest samotną matką wychowującą dwoje dzieci. W domu czyta Sienkiewicza, a język polski usłyszała po raz pierwszy w kościele katolickim, gdzie grywała na organach. Podjąwszy zupełnie dla siebie nieodpowiednią pracę w fabryce, urozmaicała sobie życie słuchaniem pożyczonych z biblioteki taśm z kursem polskiego.

Nic nie rozumiejąc siedziałam i słuchałam tych taśm, aż mogłam wyrecytować wszystkie teksty na pamięć. Po pewnym czasie zrozumiałam, dlaczego polskie słowa tak dziwnie zmieniały końcówki i okazało się, że ten niezrozumiały bełkot był prawdziwym ludzkim językiem.

Camilla, 24/3, która zamierza być dziennikarką, znalazła się w Polsce wiosną 1988 roku i usłyszała Wałęsę przemawiającego pod krzyżami do tłumów, jakich w jej ojczyźnie się nie widuje.

Nie rozumiałam nic. Albo prawie nic. Tylko słowa: „ekonomiczny... polityczny...” Postanowiłam, że następnym razem mam rozumieć.

I rozumiała. W ogóle Wałęsa i „Solidarność” przyczynili nam swego czasu wielu studentów. Pisze Elisabeth, 24/1:

Zeszłego roku studiowałam nauki polityczne na uniwersytecie. Wtedy zainteresowałam się polityką polską. Sądzę, że Solidarność jest wspaniałym ruchem i uważam, że to jest interesujące, że Kościół odgrywa ważną rolę w społeczeństwie. Napisałam pracę o roli Kościoła w polityce polskiej. Tej jesieni napiszę jeszcze pracę o Polsce. Chcę używać materiałów po polsku, na przykład polskie gazety i książki. Dlatego teraz studiuję język polski. Potem chcę pracować jako dziennikarka i pisać o Polsce.

Christopher, Camilla i Elisabeth mogą służyć jako przykłady m o t y w a c j i i d e o l o g i c z n y c h, które bywają bardzo różne, na przykład właśnie religijne lub polityczne. Do tej grupy dołączyć można chyba także uczestników ruchów ekologicznych; dość wyraziście zapisali się w mojej lektorskiej pamięci członkowie Polsko-Szwedzkiego Towarzystwa Ochrony Środowiska z zasłużonym jego prezesem Magnusem (26/5) na czele. Ich motywacje są szczególnie silne, bowiem wizja zatrutego przez nas Bałtyku przemawia do wyobraźni przeciętnego Szweda dużo mocniej niż jakiegokolwiek inne problemy zamorskiego sąsiada.

Na uppsalskiej slawistyce rzucającą się w oczy grupę stanowili młodzi mężczyźni obdarzeni wyjątkowymi zdolnościami językowymi. Początkowo trudno mi było zrozumieć ów fenomen segregacji płciowej na tak zawężonym bądź co bądź polu. Wkrótce okazało się, że tych przyjemnych studentów zawdzięczam tzw. Wojskowej Szkole Tłumaczy. Otóż

komisje badające przydatność rekrutów (służba wojskowa trwa tu rok) wyławiają osoby utalentowane językowo i zamiast uganiania się po lasach i bagnach proponują im intensywną naukę języka rosyjskiego oraz — już mniej intensywną — któregoś z pozostałych języków słowiańskich. Absolwenci tej szkoły często lądują na placówkach dyplomatycznych w funkcji pomocników attaché wojskowego... Niektórzy z nich chcą następnie poszerzać swoją wiedzę na studiach uniwersyteckich. Tak było z Hakanem (24/3), który jednak od motywacji pragmatycznej przeszedł szybko do motywacji idealistycznej i w odpowiedzi na moją ankietę napisał:

Mam od lat pragnienie, aby opanować obcy język i obcy sposób myślenia tak dobrze, jak gdyby to był mój pierwszy język i pierwszy sposób myślenia. Jeśli chodzi o polski, jeszcze mam kawałek tej drogi. [...] Moim najważniejszym powodem dalszych studiów polonistycznych jest więc tylko to, że chcę doskonalić znajomość języka i lepiej rozumieć, jak myślą Polacy i dlaczego.

Hakan spędził w Warszawie cały rok 1989 jako pracownik Ambasady Szwedzkiej i, mimo że jednym z jego zajęć była regularna lektura „Żołnierza Wolności”, wywiózł z naszego kraju jakieś niejasne przekonanie, że jeśli idzie o sens życia, to posiadliśmy pewne sekrety, które warto by dokładniej zbadać. Wydaje mi się, że na razie w wyborze studiów polonistycznych decydującą rolę odgrywają wciąż czynniki irracjonalne, zaś względy pragmatyczne mają na tę decyzję znacznie mniejszy wpływ. Sporadycznie tylko pisze ktoś, jak np. Ulrika, 22/1:

W przyszłości chciałabym pracować z kontaktami w jakiejś formie z Europą Wschodnią i dlatego myślę, że dobrze jest znać język polski...

albo jak Wilhelm:

...bo tutaj w Szwecji można lepiej praktykować język polski niż rosyjski (mam na myśli, że w Szwecji mieszka wiele Polaków).

Wilhelm interesuje się językami słowiańskimi w ogóle i ta lingwistyczna motywacja powtarza się w wypowiedziach szwedzkich studentów kilkakrotnie. Nigdy jednak nie występuje w odosobnieniu, jak zresztą i wszystkie inne wcześniej przeze mnie opisane.

Podczas mojej pracy lektorskiej prześladowała mnie niejasna myśl, że wprowadzając studentów w arkana nie tylko polskiego języka, ale i polskiego ducha (kurs obejmuje także zajęcia z historii kultury i literatury), uprawiam swego rodzaju szlachetne fałszerstwo. Czy chcę tego czy nie, moja tutejsza działalność owocuje zaszczepianiem pewnych stereotypów, do których sama przecież mam stosunek sceptyczny, a przynajmniej próbuję zachować wobec nich dystans. Uspokajam się, że to przecież naturalny odruch — przedstawiać dorobek swojej ojczyzny

w jak najlepszym świetle. Zapoznawszy więc studentów z tajnikami deklinacji męskoosobowej, aspektu oraz przegłosu polskiego, wiodę ich dalej Mickiewiczem do Ostrej Bramy i dalej szlakiem tułaczym, Miłoszem wskazuję drogę do Boga, a Gombrowiczem — do Człowieka. Norwidem opowiadam o Historii, Herbertem — o Wierności, zaś wieńczę to wszystko Prawdą i Solidarnością. Staram się nie przesadzać z Matejką i Sienkiewiczem, ale cóż poradzę, jeśli akurat obaj dostarczają dobrego materiału dydaktycznego, no i przecież nie można udawać, że ich w ogóle nie było. Na szczęście nieźle się pracuje z Tuwimem, Mrożkiem i Gałczyńskim, więc gdy zbyt już laurowo się zrobi i ciemno, można wspólnie pośmiać się z Polaka i zadrwić z jego grzechów i grzeszków. Ale i tak prawda o dzisiejszej naszej rzeczywistości jest przecież zupełnie inna niż owa wykreowana przeze mnie przy pomocy wielkiej literatury konstrukcja i mogę tylko mieć nadzieję, że skonfrontowani z rzeczywistością moi studenci nie uciekną w popłochu od tej swojej wymarzonej Polski i polskości. Nie uciekają. Kiedy próbuję wczuć się w ich sposób myślenia, to wydaje mi się, że szukają w polskości przede wszystkim czegoś niezwyklego, jakiegoś zasadniczo innego — może głębszego — stosunku do świata. Duchowo od nich odlegli, jesteśmy jednocześnie geograficznie tak bliscy, że pojawia się silna potrzeba kontaktu. Nasz język jest dostatecznie dziwny i trudny, by samo opanowanie go stanowiło już dużą satysfakcję, ale to nie wszystko. Jeśli studia polonistyczne za granicą bywają atrakcyjne, to dzięki związkowi z takimi podstawowymi wartościami, o jakich mówienie gdzie indziej już się zdewałowowało albo jeszcze nie weszło w modę. Co do mnie, to nawet będąc jedynie środkiem przekazu, czuję, że daję się wciągać w jakąś manipulację aksjologiczną — tu ubarwię, tam przemilczę, ówdzie odpowiem wykrętnie, a w długie zimowe wieczory sama siebie dręcę pytaniem, co ma wspólnego dzisiejsza Polska z ową przeze mnie, dla celów dydaktycznych, wykreowaną.

Ewa Kraskowska